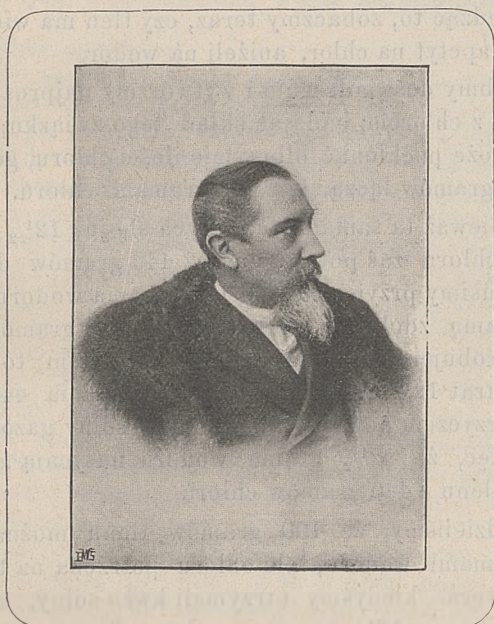




# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Ś. p. Henryk Siemiradzki.

**B** było to w Krakowie roku 1789. Do uczty wyprawianej dla wielkiego powieściopisarza, Józefa Kraszewskiego, którego obchodzono jubileusz, zasiedli najznakomitsi w kraju obywatele. Każdy chciał oddać cześć autorowi wedle sił i możliwości; z grona obecnych powstał Henryk Siemiradzki, malarz, znany nietylko u nas, ale sławiony u obcych za piękne prace swego pędzla.

Zrozumieli obecni, że taki magnat talentu złoży Kraszewskiemu hołd nielada, że uczcić go zamierza, i zapanoowało w sali uroczyste milczenie.

A wtedy mistrz pędzla wyrzekł ze skromnością właściwą wielkim ludziom i wielkim dobrodziejom:

— Pragnąc małym czynem upamiętnić dzień dzisiejszy, ofiaruję krajowi obraz mój „Pochodnie Nerona.”

Dar był prawdziwie królewski. Szczęśliwy autor który uwielbieniem dla siebie taki upominek wywołał, szczę-

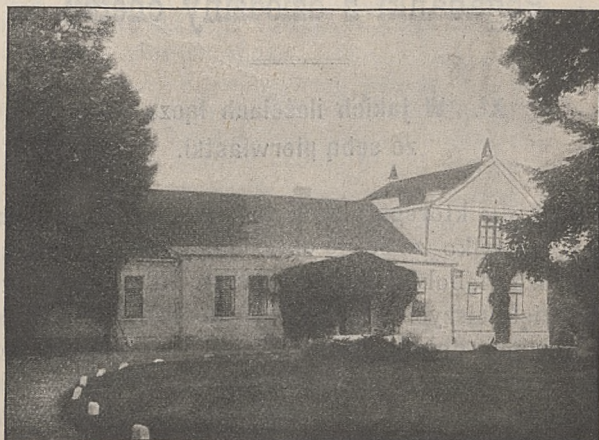
śliwy malarz, którego talent postawił w możności zrobienia tak hojnej ofiary.

Henryk Siemiradzki pięknym tym obrazem zapoczątkował muzeum w Sukiennicach, czem zasłużył na wdzięczność u swoich.

Rodzina Siemiradzkich pochodzi z pow. Sandomierskiego, lecz ś. p. Henryk urodził się w Pieczyniegach w gub. Charkowskiej 1843 r. Gimnazjum i studia uniwersyteckie ukończył w Charkowie ze stopniem kandydata nauk przyrodniczych. Złożony w duszy jego talent upomniął się o swe prawa i zmusił młodzieńca do zawrócenia z obranej już drogi, udał się więc do Petersburga, wstępując w poczet uczni Akademii Sztuk Pięknych. Po kilkoletniej i wytrwałej pracy, opuścił akademię, wywołując wysokie uznanie profesorów, nagrodzony siedmiu medalami.

Na powszechnej wystawie w Wiedniu r. 1873 uzyskał Henryk Siemiradzki równocześnie z J. Matejką wszechświatową sławę, oraz złoty medal za wspaniały obraz: „Chrystus przebaczący grzesznicy.”

Z obrazów religijnej treści mistrza naszego, znajduje się w Warszawie jeden, umieszczony w wielkim ołtarzu w koście-



Dwór H. Siemiradzkiego w Strzałkowie.

le Wszystkich Świętych na Grzybowie, lecz najpiękniejszym jest „Chrystus w domu Marty i Maryi,” wzruszył on wiele serc widokiem słodkiej, a mądrej twarzy Boskiego nauczyciela. Żadne jednak dzieło ś. p. Henryka Siemiradzkiego, nie zdobyło takiej sławy, jak „Pochodnie Nerona,” właśnie to, które ofiarował wspaniałomyślnie dla muzeum w Sukienicach. Przedstawia tam męczeństwo pierwszych chrześcijan, żywcem palonych z rozkazu okrutnego cesarza. Kraków szczeni się jeszcze drugim, a równie pięknym dziełem Siemiradzkiego, mianowicie kurtyną, którą wymalował dla nowo wzniesionego teatru. Żadna scena w Europie nie posiada tak pięknej zasłony, pozazdrościł jej też Lwów, poprosił mistrza o podobną, który z niewyczerpaną gotowością oddał znowu swój talent na usługi kraju.

Nie zrównanym był on w odtwarzaniu błękitów włoskiego nieba, włoskich mór, marmurów i kwiatów. Jego irysy, rosnące nad wodą, tak do złudzenia nęcają oko, że mimowoli wyciągamy do nich ręce, zwiedzeni prawdą malowidła; a studiując zabytki świetnej przeszłości państwa Rzymskiego, już to na tle historii tegoż państwa, już z życia domowego dawnych Rzymian, stworzył mnóstwo obrazów.

Lecz na trumnę artysty, który kochał swoją ziemię, chociaż jej nie odtwarzał w swych pracach, inne niż włoskie należały się kwiaty. Czczyciele talentu ś. p. Henryka zarzucili ją wieńcami uwitami z roślin naszych pól.

Jako malarz upodobał sobie Rzym i tam miał pracownię, lecz tęskniąc za krajem, nabył kawałek ziemi rodzinnej, majątek Strzałkowo, w gub. Piotrkowskiej, gdzie spędzał zwykle kilka miesięcy letnich; tam też zgasł przedwcześnie d. 23 Sierpnia, licząc zaledwie 58 lat życia.

Lecz nie tam spoczął na wieki, zwłoki ś. p. Siemiradzkiego przewieziono do Warszawy i złożono w grobach rodzinnych na Powązkach, a nieprzeliczone zastępy publiczności, towarzyszące tym smutnym obrzędom, złożyły mu hołd ostatni.

Z. B.



## Pogadanki z dziedziny chemii.

### XI. W jakich ilościach łączą się ze sobą pierwiastki.

Powód, dla którego pewna ilość danego pierwiastku łączy się tylko ze ściśle określoną ilością drugiego, jest bardzo głęboki i bardzo ważny. Ten fakt naprowadził najdzielniejszych myślicieli na domysł, że wszystko, co tylko widzimy dokoła siebie i my sami nawet, słowem wszystka materya, z której zbudowany jest świat, składa się z pojedynczych, bardzo małych cząsteczek, tak małych, że niepodobna ich dostrzedz przez najpotężniejsze drobnowidze, i że z połączenia tych drobniutkich cząsteczek zwa-

nych atomami, albo niedziałkami, powstały wszystkie substancje jakie tylko znamy.

O atomach będziemy mówili dalej, ale jak na teraz zajmijmy się nadzwyczajnie ważnym i godnym uwagi prawem chemicznym, na którym opiera się ta cała gałąź wiedzy.

Wiemy, że każdy pierwiastek chemiczny ma pewien określony apetyt, dający się nasycić pewną ściśle określoną porcją innego pierwiastku, że nie można z tego drugiego pierwiastku odjąć, ani też nic do niego dołożyć. Otóż istnieje bardzo dziwny stosunek nie tylko pomiędzy apetytami, ale i pomiędzy porcjami, jakimi można je nasycić. Ażeby zrozumieć to, musimy zbadać apetyty i porcje kilku ważniejszych pierwiastków.

Zacznijmy znowu od tlenu i weźmy go w ilości 100 gramów, i z tą ilością łączmy chemicznie rozmaite inne pierwiastki, ile n. p. wodoru potrzebują owe 100 gramów tlenu, ażeby się nasycić? Wiemy już, że do nasycenia potrzeba tutaj  $12\frac{1}{2}$  grama wodoru.

Wiedząc to, zobaczmy teraz, czy tlen ma większy, czy mniejszy apetyt na chlor, aniżeli na wodór.

Zróbmy doświadczenie i wytwórzmy najprostszy związek tlenu z chlorem; badając skład tego związku, widzimy, że tlen może pochłonąć olbrzymie ilości chloru, gdyż każde 100 jego gramów łączy się z 440 gramami chloru.

Ponieważ ta sama ilość nasycy się już  $12\frac{1}{2}$  gramami wodoru, chloru zaś potrzebuje aż 440 gramów do nasycenia, to musimy przypuścić, że  $12\frac{1}{2}$  grama wodoru posiadają taką samą zdolność nasycającą co 440 gramów chloru. Jeżeli spróbujemy połączyć chlor z wodorem, to się okaże, że akurat  $12\frac{1}{2}$  gramów wodoru pochłania 440 gramów chloru, przyczem powstaje t. zw. kwas solny gazowy. Widzimy więc, że  $12\frac{1}{2}$  grama wodoru nasycają apetyt 100 gramów tlenu i 440 gramów chloru.

Widzieliśmy, że 100 gramów tlenu można nasycić  $12\frac{1}{2}$  gramami wodoru, ale chloru potrzeba na to aż 440 gramów; teraz, kiedyśmy otrzymali kwas solny, wiemy, że skromna porcja  $12\frac{1}{2}$  gramów wodoru odznacza się wielkim apetytem na chlor i pochłania go na 440 gramów, to znaczy, że  $12\frac{1}{2}$  gramów wodoru ma takiż apetyt, jak 100 gramów tlenu i dla tego to  $12\frac{1}{2}$  grama wodoru łączy się ze 100 gramami tlenu na wodę zwyczajną.

To, cośmy żartobliwie nazwali chemicznym apetytem, nie jest w rzeczywistości niczem innym, jak chemiczną siłą przyciągającą; ostatecznie przychodzimy do wniosku, że ponieważ 100 gramów tlenu łączy się tylko z  $12\frac{1}{2}$  gramami wodoru, przeto chemiczna siła 100 gramów tlenu równa się ściśle sile przyciągającej  $12\frac{1}{2}$  gramów wodoru.

W ten sposób zachowują się względem siebie nie tylko tlen, wodór i chlor, ale i wszystkie znane nam pierwiastki chemiczne

Wł. U.



H. G. Wells.

## PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCO.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg.)



Nie ociągał się bynajmniej, lecz z całym przejęciem uczonego, który mówi o ulubionym przedmiocie, zaczął mi opowiadać o swym wynalazku. Ja słuchałem go uważnie, a choć niezupełnie rozumiałem, bo jako specjalista używał mnóstwo wyrazów technicznych, które dla niego były proste i jasne, a dla mnie nowe i niezrozumiałe, lecz porywał mnie swą wymową, więc potakiwałem jego dowodzeniom, a gdy się zatrzymywał, mówiłem:

— Mów pan dalej!

Z tej prelekcji ściśle naukowej wyniosłem jednak przekonanie, że nie był to żaden maniak, ale poważny badacz, którego odkrycie mogło być istotnie wielkie i pożyteczne. Gdy mi powiedział, że ma u siebie laboratorium i trzech robotników pracujących pod jego kierunkiem, pojąłem, że to nie żadna mrzonka, ale rzecz, którą warto zbaczyć i poznać. To też, gdy mnie zaprosił i obiecał pokazać swe prace, przyjąłem skwapliwie jego zaproszenie.

Zegnając się ze mną, zaczął mnie przeproszać, że mi tyle zabrał czasu, lecz tak rzadko z kim może rozmawiać o swej pracy, a to jest dla niego tak wielką przyjemnością, i szczerze mi dziękował, że go wyciągnąłem na tę gawędę.

— Mało obcuje z ludźmi uczonymi — rzekł — bo często są oni drobiazgowi i zazdrośni, a doprawdy jak się ma w głowie jakąś nową, wielką ideę, to te ludzkie drobnostki bardzo nużą — ale nie chcę bynajmniej obmawiać naszych uczonych.

Jestem człowiekiem szybkich postanowień, ten człowiek bardzo mi się podobał, a że w głębi duszy wyrzuciłem sobie, że go pozabawiłem jedynej przyjemności, jaką był dla niego popołudniowy spacer, rzekłem więc pośpiesznie:

— Nie sądzę, abym mógł odstąpić panu swoje mieszkanie, ale może pan zechce w miejsce przechadzki, którą panu zepsułem, przychodzić codzień do mnie o tej godzinie i opowiadać mi o postępie swych poszukiwań. Ponieważ jestem zupełnym profanem w tej gałęzi wiedzy i człowiekiem uczciwym, nie wykradnę panu tajemnicy jego odkrycia.

Nieznamy zdawał się rozważać moją propozycję. Po chwili rzekł:

— Boję się znudzić pana.

— Sądzisz pan, że za mało jestem inteligentny, ażeby być pańskim słuchaczem?

— O nie, ale ten język techniczny...

— Nie wiem, ale dzisiejszym wykładem niezmiernie mnie pan zajął.

— Takie pogadanki byłyby wielką pomocą dla mnie — rzekł rozpromieniony — bo nic tak nie rozjaśnia nowych pojęć, jak objaśnianie ich drugim. Dotąd...

— A więc rzecz ułożona między nami, drogi panie — odparłem.

— Dobrze, ale pan ma swe zajęcie, pan nie ma czasu na takie pogawędki.

— Wszak i mnie po pracy należy się jakiś wypoczynek, pańskie pogadanki będą tym wypoczynkiem.

Zgodził się lecz z ostatniego schodka werendy wrócił się jeszcze i rzekł:

— Jestem panu bardzo, bardzo obowiązany.

Sporządziłem na niego zdziwionym wzrokiem.

— Wyleczyłeś mnie pan zupełnie z mego śmiesznego mruczenia.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem, że miło mi jest, gdy mogę wyświadczyć komu jakąkolwiek usługę.

Odszedł. Widać, że moja propozycja wróciła mu swobodę myśli, bo idąc, zaczął po dawnemu gestykulować i głośno mruczyć, lecz teraz nie dziwiło mnie to, bo wiedziałem, że umysł jego cały był pochłonięty jakimś nadzwyczajnym pomysłem.

Przez parę następnych dni przychodził regularnie i miewał prawdziwe prelekcje z dziedziny fizyki i chemii, a ja słuchałem go uważnie, mówiąc od czasu do czasu, odpowiednio do jego twierdzeń: „tak,” mów pan dalej, lub „rozumiem pana.”

Jeszcze przy pierwszej jego wizycie przedstawiliśmy się sobie, nowy mój znajomy nazywał się Cavor, a mówił tak jasno i z takim przejęciem, że choć byłem zupełnym nieukiem w jego specjalności, jednak zaczynałem rozumieć go naprawdę i przejmować się jego wynalazkiem na równi ze sztuką, którą pisałem bardzo powoli, niestety.

Jakoś w tydzień poszedłem z rewizytą do Cavora. Dom jego był obszerny, lecz bardzo zaniedbany; nie otrzymał żadnej służby oprócz trzech robotników; w prywatnym swym życiu był to skończony filozof. Za napój miał wodę, żywił się chlebem, mlekiem, jarzynami i owocami. Całe swe mieszkanie urządził jak fabrykę, złożoną z różnych warsztatów. Na dole były warsztaty mechaniczne, komin w kuchni i kocioł w pralni przerobione zostały na piec i tygle do przetapiania metali. Pokazywał mi to wszystko z zapałem samotnego badacza, który dotąd żył tylko ze swymi świetnymi pomysłami, a teraz znalazł słuchacza, który go rozumiał...

Trzej jego robotnicy byli: Spargus, dawny marynarz, obecnie kotlarz i kucharz, Gibs stolarz, trzeci Brown, dawny ogrodnik, teraz do wszystkiego. Ludzie to byli chętni, silni i sumiennie wykonywali pomysły Cavora podług planów, kreślonych przez niego, nie rozumiejąc ich sami.

Celem poszukiwań i doświadczeń Cavora było wytworzenie substancji t. j. ciała chemicznego, któreby nie przepuszczało siły przyciągania, podobnie, jak szkło nie przepuszcza elektryczności, jak ciała nieprzezroczyste, nie przepuszczają światła, a metale promieni Rentgena i t. p.

— Widzisz pan — powiedział — wszystko, co znamy dotąd podlega wzajemnej sile ciężkości, której prawa Newton pierwszy określił. Ziemia i komety ciążą do słońca; atmosfera, woda i to co jest na ziemi, utrzymują się na jej powierzchni, bo podlegają tej sile, dzięki której istnieje ciężar i waga. Otóż ja twierdzę, jestem na śladzie takiej kombinacji chemicznej, która będzie zatrzymywała działanie energii, będącej owem przyciąganiem, jak na przykład okiennica zatrzymuje i nie przepuszcza działania energii świetlnej, a tafla szklana, przepuszczająca światło, zatrzymuje działanie elektryczności. Rozumiesz pan? — zawołał, zapalając się — a połączysz *helium* z pewnemi solami przy pewnych warunkach — mam nadzieję wytworzyć substancję, która będzie złym przewodnikiem siły ciężkości. Jeśli z tej substancji zrobię kawał blachy i podłożę ją pod centnarowy kamień, straci swój związek z ziemią, straci wszelką wagę, przyciąganie ziemi nie będzie na niego działało — polecą w przestrzeń — rozumiesz pan?

I zaczął objaśniać swoje kombinacje.

— Szczerze dzisiaj żałuję, że gdy on mi tak jasno wykladał, w jaki sposób ma zamiar wytworzyć ów nadzwyczajny metal, ja z tego wszystkiego nie robiłem notatek, a teraz! teraz! Lecz ani mi przeszło wtedy przez głowę, że te notatki takby się dziś przydały dla biednego Cavora i dla całej ludzkości. Łatwo pojmiecie jednak, że gdy się dowiedział nad czym Cavor pracuje, zrozumiałem całą doniosłość takiego wynalazku, i praca jego w tym kierunku za-



Z całym przejęciem uczonego, który mówi o ulubionym przedmiocie, zaczął mi opowiadać o swoim wynalazku.

częła mnie daleko więcej zajmować, niż cała moja literatura. Czem była choćby najlepsza sztuka teatralna, w porównaniu z tem odkryciem, przez który Cavor zrobi zupełny przewrót w świecie?

Módsz się opierać działaniu siły ciężkości, która trzyma i skuwa cały wszechświat i wszystko co na nim istnieje, ależ to zdumiewające, to cudowne! I ja byłem obecny, czyli będę przy narodzinach tej nowej potęgi. Na tę myśl zadrżałem ze wzruszenia. Jakiś nowy człowiek obudził się we mnie. Chciałem działać, zawiązywać towarzystwa dla eksploataowania nowego wynalazku, widziałem Cavora i siebie na szczycie sławy i bogactwa.

Obejrzawszy dokładnie warsztaty i laboratorium Cavora, rzekłem do niego:

— Jest to niezaprzeczenie jeden z największych wynalazków, jakich kiedykolwiek umysł ludzki dokonał. Jutro

przychodzę do pana jako czwarty robotnik, a jeżeli mnie nie zechcesz, to chyba...

Spojrzał na mnie, zadziwiony moim zapałem.

— Czy pan to naprawdę mówisz? A cóż będzie z pańską sztuką?

— To drobnostka w porównaniu z pańskim odkryciem. Czy pan nie rozumie, że ono uczyni przewrót w całym świecie?

Istotnie, on o tem wcale nie pomyślał. Ten uczony badacz pracował nad swym wynalazkiem dla miłości wiedzy. Całą jego ambycją było, dojść do pewnego rezultatu naukowego, dla którego życie poświęcił. Nazwałby tę nową substancję Cavoriną lub Cavoritem, wtedy portret jego, jako zasłużonego badacza, umieściłyby pisma naukowe, zostałby członkiem akademii i... dosyć, dalej nie sięgały marzenia Cavora. Ja zaś z praktycznego punktu widzenia nazywałem jego wynalazek olbrzymim, piorunującym, nadzwyczajnym. To też teraz zamieniliśmy role. On słuchał a ja dowodziłem mu, jakie korzyści możemy odnieść z jego odkrycia.

— Zapewne, masz pan rację — rzekł z przekonaniem. — Dziwna rzecz, jak to wymiana myśli rozszerza widnokrąg naszych pojęć!

— Szczególniej gdy znajdziemy człowieka, który nas rozumie — odrzekłem z powagą.

— Zdaje mi się — rzekł po chwili Cavor — że nie ma na świecie człowieka zupełnie obojętnego na bogactwo. Ale do końca brakuje jeszcze jednej rzeczy.

Zamilkł, ja czekałem co powie.

— Wiedz pan, że mój wynalazek może nas jeszcze zawieść! Często takie wyrachowania są teoretycznie możliwe, a praktycznie niewykonalne. Ale nawet gdy wytworzę tę nową substancję, to znaleźć się mogą inne przeszkody...

— To je usuniemy odrzekłem z mocą.

## II.

### Pierwsza próba Cavoritu.

Obawy Cavora były płonne. Dnia 14 października roku 1899-go nowa substancja była wynaleziona.

Muszę jednak wyznać prawdę, że w ostatecznej chwili przypadek, marny przypadek dopomógł nam do tego. Cavor stopił razem różne metale, dodając do tego rozmaite sole; miała ta mieszanina wrzeć jakiś czas, a potem powoli zastygać i wytworzyć pożądaną substancję, twardniejącą przy 33° C. (Celsyusza). Lecz zdarzyło się, o czem naturalnie Cavor nie wiedział, że jego robotnicy pokłócili się.



Ruiny zamku w Chęcinach.

Poszło im o palenie w piecu do przetapiania metali. Gibbs, który to zwykle robił, nagle doszedł do przekonania, że powinien to czynić Brown, gdyż on jest ogrodnikiem, a węgiel jest pewnego rodzaju ziemią, bo go kopią. Brown ani chciał słyszeć o tem, dość, że gdy Cavor wyszedł na zwykłą popołudniową przechadzkę, ogień nie zasilany, wygasł zupełnie. Weszło nam to w zwyczaj, że cały ranek pracowałem u Cavora, na obiad szedłem do siebie i o piątej czekałem go z herbatą, którą piliśmy razem, rozmawiając o wynalazku.

W ten dzień pamiętny, właśnie woda w kociołku zaczynała mi wrzeć, spojrzałem w okno i w purpurowo-złoty blaskach zachodu, ujrzałem ruchliwą postać Cavora gestykulującą po dawnemu. Wtem!... Kominy na domu Cavora wyleciały w powietrze, za nimi dach i meble, potem

żyję, że posiadam zdrowe członki i znów mogę swobodnie oddychać. Rozejrzałem się wkoło; jakże wielka zmiana zaszła przez tę chwilę! Purpurowo złoty krąg słońca zakryły czarne chmury, wszystko dokoła pociemniało.

(d. c. n.)

## Listy z wycieczek wakacyjnych.

### Chęciny i Obłęgórek.

Kielce 21 Sierpnia 1901.

Kochana Madziu!

Dziękuję ci za list; czekał na mnie w Kielcach, dokąd szczęśliwie przyjechaliśmy z Ojcowa (patrz N. 20). Jesteśmy



*Pałac w Obłęgórku.*

buchnął ogromny biały płomień. Powyrywało drzewa rosnące koło domu, rozległ się straszliwy grzmot, od którego ogłuchłem na zawsze na jedno ucho, i wszystkie szyby w oknach mego mieszkania wyleciały.

Wyszedłem na werendę aby spotkać Cavora, tu silny wiatr zwał mi poły od surduta na głowę i mimo mej woli, popchnął mnie na drogę ku niemu, lecz w tej samej chwili uczony mój przyjaciel porwany wichrem, krzycząc i machając nogami, uniósł się na metr wysokości w powietrze, potem upadł na ziemię, a potem niewidzialna siła znów go porwała i poniosła dalej z błyskawiczną szybkością, aż wśród nieopisanego zamętu, zniknął mi z oczu.

Gdy rozszedł się dym i popiół opadł na ziemię, zobaczyłem leżący u moich nóg jakby arkusik jakiejś błękitnej, świecącej blaszki. Wiatr powoli ustawał i ja czułem, że

tutaj od dwóch dni; zwiedziliśmy w mieście wszystko godne widzenia, a mianowicie: dawny pałac biskupi, katedrę oraz inne kościoły i fabrykę nagrobków marmurowych.

Ponieważ Kielce znasz, więc nie podaję ci wiele bliższych szczegółów, to tylko ci powiem, że uczyniły one na mnie wrażenie małego miasta i nie mogą iść w porównanie np. z Lublinem.

Zato okolice Kielc są przepyszne. Byliśmy wczoraj na górze zwanej Karczówką o samym zachodzie słońca. Nie zapomnę tak prędko tej przechadzki. Purpurowe blaski gwiazdy dziennej ginęły za wzgórzami, lejąc rubinowe, a raczej ogniste potoki na wierzchołki drzew, pokrywających owe wzgórze. Zdawało się, że drzewa o najwyższych gałązkach płonęły, a obok tego niebiański spokój,

wiał od pustych już pól, aby tą ciszą ogarnąć niezadługo i siedziby ludzkie.

Chęciny, o których pragniesz mieć jak najwięcej szczegółów, zwiedziliśmy wczoraj około południa. Z Kielc jedzie się do Chęcin blisko dwie godziny, ale bardzo dobrą szosą. Droga przeszła nam więc bardzo przyjemnie, zwłaszcza, że pogoda była wymarzona, dzień jasny, słoneczny, taki, który to budzi w sercu wdzięczność dla Stwórcy za udzielony skarb życia.

Minąwszy Słowik, ulubioną siedzibę letnią Kielczan, ujrzelśmy niebawem ruiny dawnego Chęcińskiego zamku. Wzniesiony na wysokiej górze, (grzbiet chęciński wznosi się na 1200 stóp nad poziom morza) w blaskach słońca, na tle pogodnego nieba, przedstawił się wspaniale i bardzo malowniczo.

U stóp ruin rozsiadło się miasteczko, niestety brudne, i brzydkie. Powabu nie dodają mu ani trochę marmurowe podmurowania niektórych domów, ani miejscami bruk z marmurowych kamieni!

Na baczniejszą uwagę zasługują kościoły: parafialny, pofranciszkański i kaplica w klasztorze panien Klarysek. Dwie pierwsze świątynie wzniesione jeszcze w XIV wieku, za wpływem Szafranców, gorliwych krzewicieli kalwinizmu, w tej części kraju, dostały się w XVI wieku, temu wyznaniu i dopiero za Zygmunta III powrócono je znowu katolikom. Klasztor ucierpiał srodcie w czasie wojen za Jana Kazimierza, złupili go zwłaszcza Węgrzy Rakocze. W kościele parafialnym jest piękny ołtarz z marmuru i alabastru z wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa.

Najprzyjemniejsze wrażenie wyniosłam z klasztoru Klarysek. Są tam jeszcze cztery zakonnice staruszki. Rozmawialiśmy z jedną z nich. Powiedziała, iż ma siedmiesiąt szósty rok, a sześćdziesiąt lat jest już w klasztorze! Była sierotą, matkę straciła w latach dziecięcych, a ojca zbrojcy zabili, gdy miała lat trzynaście. Bez rodzeństwa i bliższej rodziny, poświęciła się służbie Bożej i wstąpiła do klasztoru w Wieluniu. Po dwudziestopięcioletnim tam pobycie, została przeniesiona do Chęcin i tu dobiega kresu dni swoich. Widać, że życie spędzone w tej cichej przystani, zachowało jej siły fizyczne, przytomność umysłu i pogodę ducha.

Jest dotychczas czynna, zajmuje się kaplicą, gra na organach w czasie nabożeństwa, a w głosie i ruchach posiada tyle jeszcze żywości, że dużo osób, wiele, wiele młodszych mogłoby jej pozazdrościć tego zdrowia ciała i duszy.

Po wyjściu z klasztoru poszliśmy do ruin. Wejście dosyć przykre, śliskie, bo góra roślinami pokryta! Widok z wieży rozległy i piękny, a jaki on musiał być dawniej z najwyższej baszty!

Slicznie wyglądała błękitna Nida, porośnięta lasem Karcówka i naokół po dolinach rozsiane wioski w otoczeniu pól uprawnych i puszystych łąk!

Wracając do Kielc, wstąpiliśmy do Bolechowa, aby tam zwiedzić łomy marmuru. Około Kielc i Chęcin jest kilka kopalni, ale nie wszystkie są czynne; w niektórych wydobywają tylko kamień zimą, w innych latem. Niedaleko za wioską rozciąga się wzgórze, zapytani przechodnie odpowiadają, że to tam dobywa się marmur. Idziemy więc tam pospiesznie. Nie sądź, że trzeba było zapuszczać się pod ziemię, aby zobaczyć kopalnię. Wcale nie! Praca odbywa się na powierzchni ziemi. Ono wzgórze to góra marmurowa, pokryta tylko lekką i cienką warstwą ziemi!

Z jednej strony wnętrza góry odkryte i widzimy pokład marmuru. Są to wielkie płyty, porozdzielane cienkimi żyłami ziemi. Garstka ludzi wydobywała je za pomocą kilofów. Marmur w Bolechowie wydobywany, jest szary; w innych łomach jest czerwony, a czasem ma bardzo ładne różnokolorowe żyłki. Białego marmuru w łomach chęcińskich nie ma wcale, ale szarego są pokłady bardzo bogate i niewątpliwie mogłyby być w korzystniejszy sposób wykorzystane.

Z bolechoskiego marmuru w małej fabryce w Kielcach wyrabiają nagrobki, płyty do stołów, umywalni, oraz różne drobiazgi. Wróciwszy do miasta, zwiedziliśmy także ową fabrykę.

Najpierw piłami bez zębów, a tylko z pomocą wody i piasku, tną grube płyty na cienkie deski a raczej blaty, a potem zaczyna się najzmutniejsza praca, to jest szlifowanie. Pierwszą chropowatość ściera się mokrym piaskiem, a do zupełnej gładkości i połysku doprowadza się marmur przez pocieranie go szmerglem i sproszkowanym ołowiem.

Kupiłam kilka drobnostek w fabryce; nie są one artystycznie wykonane, ale będą zawsze miłą dla mnie pamiątką. Mam i dla ciebie przycisk w formie jajka.

Dziś zrobiliśmy dorożką Kielecką bardzo miłą wycieczkę do Obłęgórka, pięknej majątności, leżącej o 12 wiorst od Kielc, ofiarowanej, jak wiesz Henrykowi Sienkiewiczowi. Sienkiewicz ma w nim zamieszkać na wiosnę roku przyszłego. \*) Tymczasem komitet jubileuszowy dobudowuje do dawnego niewielkiego domku piękny pałacyk, urządza park i gospodarstwo.

Z wielką ciekawością i wzruszeniem wybieraliśmy się zwiedzić tę przyszłą siedzibę naszego najznakomitszego pisarza współczesnej doby, który sławę naszej literatury i historii przez swój geniusz rozszerzył po całym świecie i jak mówi tatuś: przypominał nas światu.

Wyborną szosą piotrkowską jechaliśmy wiorst kilka aż do Miedzianej góry, stamtąd skręciliśmy na boczną drogę niezbyt szeroką i równą. Minąwszy Chęciny z kościołem parafialnym i malowniczo położonym młynem wjechaliśmy na pagórek pokryty lasem i ujrzelśmy szeroką dolinę za nią na skłonie wysokich wzgórz, pokrytych obfitą zielonością drzew rozmaitych, wioskę i dwór Obłęgórski, który dawniej należał do rodziny Tarłów.

Przed wjazdem do dworu stoi przy drodze mała kapliczka, w której niekiedy odprawiają się nabożeństwa. Od niej droga skręca na lewo, mija łąkę i staw, wreszcie podnosi się ku górze i ślimakiem wspina się na wysokie płaskowzgórze na którym wznosi się piękny piętrowy pałacyk z parterowym skrzydłem.

Pokoje wewnątrz jeszcze nie urządzone, ale pałacyk na zewnątrz zupełnie skończony. Niedaleko od niego stoi lipa niezwykle wysoka i tem dziwna, że nie rozłożysta, jak wszystkie lipy samotnie stojące, lecz strzelająca w górę, jak stożek. Pomyślałam sobie, że ta lipa będzie kiedyś tak sławna, jak lipa Jana Kochanowskiego w Czarnolesiu.

Obeszliśmy obszerny park, okalający dwór z trzech stron. Pełno w nim jarów, wawozów, strumieni i źródeł. Jedno z tych źródeł jest bardzo obfite i czyste, woda z niego zawiera trochę kwasu węglanego i jest niezmiernie orzeźwiająca. Podobno tworzy się przedsiębiorstwo, które ma tę wodę butelkować i sprzedawać, jako pierwszą krajową wodę stołową, na wzór takich wód zagranicznych, jak Giesshübler i Apollinaris, które są bardzo używane nawet u nas. Źródło to otrzymało nazwę „Ursus” od owego dzielnego i zacnego Lyga z „Quo Vadis”, który w cyrku przed Neronem powalił za rogi tura i uratował życie swej pani, uroczej Lygii.

Widzieliśmy jeszcze w parku w oddzielnej zagrodzie śliczną sarenkę z młodym jelonkiem, bardzo łaskawych i oswojonych, i opuściliśmy Obłęgórek z przekonaniem, że będzie w nim naszemu ulubionemu autorowi bardzo wygodnie i przyjemnie. Jutro mamy jechać w góry Św. Krzyskie, ale dotychczas nie mamy koni, a dorożką nie radzą jechać, bo to za wielka wyprawa. Odpisz mi do Warszawy, bo za tydzień będziemy już w domu na pewno.

Ściskam cię bardzo serdecznie twoja.

Helena.

przepisała J. W.

\*) Wistocie zamieszkał już w roku bieżącym i ma zamiar spędzić w Obłęgorku kilka miesięcy letnich wraz z córką i synem, studentem uniwersytetu w Krakowie (przyp. red.)

# Stefek Luty w Brazylii.

przez  
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).



Posłuży za dłutko — dodał szukając kamienia, kamień miał zastąpić młotek.

Dłutkiem udało mu się nareszcie zrobić otwór w blasze. Uderzył go zapach wanilii, to znów zapach szaławii i mięty.

— Czy całą aptekę zakopano w ziemi? — mówił rozszerzając dłutkiem dziurę.

Otworzył blaszane wieko pudła. Leżały w nim pęki starannie ułożonych ziół. Każda wiązka nosiła stosowny napis i notatkę objaśniającą.

— „*Mentha pulegema*” w czasie alteracji żołądka — czytał Stefan. Pismo było kaligraficzne, wyraźne, a co najważniejsze polskie.

— Swoją tu był! rodak tu był! ten sam który zgubił dukata! — powtarzał ślusarczyk. Dukata istotnie musiał być zgubionym przy zakopywaniu skrzynki, gdyż Stefan znalazł go w ziemi, kiedy wszystkie inne przedmioty, doskonale zachowane dzięki suchości gruntu i zalutowaniu pudła zebrane były razem i starannie ułożone.

— Skarb — myślał Stefan, bolesny uśmiech wykrzywił mu usta. Głodny wolałby kawałek chleba, niż te chwasty, któremi jakaś stara klucznica zaopatrywała swoją apteczkę.

Skarb! powtórzył sztychając, choć któż zgadnie co dla kogo skarbem stać się może? Wysypał zawartość skrzynki na środek jamy.

— Czemuż to nie zboże? Zaspokoilibym głód gryząc ziarna, a trudno jeść suche owady i motyle, których tu nierzadko także niemało. — Kopnął nogą skrzynkę ale spostrzegł, że na dnie leży mały skórzany woreczek.

— Złoto! zawołał z wrastającą goryczą. — Cóż mi po złocie, ja chcę chleba! ja chcę jeść!

W woreczku było istotnie 20 sztuk złota z takim samym jak znaleziony dukat stępem i kawałek pożółkłego pergaminu. Stefan na widok pisma zapomniał o głodzie zbliżył się do ognia i czytał co następuje:

„Ja Jan Chryzostom Dundera, urodzony w mieście Gdańsku anno Domini 1585, towarzyszyłem imię panu Krysztofowi Arciszewskiemu w jego do kraju Brazylijskiego nawigacyi. Czyniłem zaś to nie przez wojenny animusz, ale przez wrodzoną ku poznaniu wszelkiej fauny i flory ciekawość. Gdy więc nadarzyła mi się tak dobra okazja nabrania experyencyi osobistej, popłynąłem ku insulom, stały ląd Ameryki otaczającym. Tu, gdy imię pan Arciszewski, marszał kontentując, na chwalebnych victoriach czas trawił, ja dla poznania rozlicznych insektów i skutecznych ziół nawigowałem dalej po falach oceanu, a wpłynąwszy na niepoślednie fluwium, dostałem się w samo cordem puszczy. Gdy jednak szpetna wód natarczywość zabrała nam łódź, dążę z kompanionami per pedes do oceanu, zebrane zaś płody flory i fauny, co delikatniejsze w skrzynce blaszanej, większe inclusive z tąż skrzynką w beczce zakopuję, suponując, że uda mi się za powrotem w te strony własność moją odzyskać. Gdyby jednak złośliwe fatum na nowe narazić nie miało impedimenta, suplikuję znalazcę niniejszego, aby salwował te zbiory i takowe imię panu Arciszewskiemu do Perifuero, gdzie równie chwalebne jak pod Parahibą odnosi victorie, odesłał, za co niechaj sobie dwadzieścia czerwonych złotych, które na dnie pudła zostawiam, zatrzymamnie w życzliwej amicitii chowa”.

Jan Chryzostom Dundera  
10 Aprylis anno Domini 1636.

Tekst polski był powtórzony po łacinie i takimże opatrzone podpisem. Ogień przygasł, bo Stefan zapomniał podniecać płomienia. Zapomniał o głodzie o niebezpieczeństwie własnem, to, co przeczytał, wpawiło go w osłupienie. Miał w rękę niezbitą wodę, że w tym samym miejscu, w którym się znajdował teraz, przebywał kiedyś uczony Polak, że nie szczędził on życia dla wiedzy. Każda praca budzi cześć, tem więcej praca dla nauki, zwłaszcza wtedy, gdy naraża na kalectwo lub śmierć. Iluż chemików straciło zdrowie w czasie doświadczeń laboratoryjnych, ilu podróżników przepadło od mrozów podbiegunowych lub na bezbrzeżnych pustyniach Afryki!

— Czy Dundera zdołał się ocalić? — myślał Stefan.

Pani O'Clear utrzymywała zawsze, że więcej ludzi marnieje przez brak ideału, niż ginie dla ideału, może więc i on wrócił szczęśliwie do kraju, a tylko nie potrafił uratować swoich zbiorów.

Musiało ich być dużo, Stefan dobywał coraz więcej klepek. Beczka znajdowała się głęboko pod ziemią, bo wlewy rzeki pokryły pierwotny ląd grubą warstwą mułu.

— Chryzostom Dundera, Chryzostom Dundera! powtarzał Stefan i nazwisko obce mu dotąd nabrało znajomych dźwięków. Widział niemal tego, o którym myślał teraz nieustannie, niepomny na to, że jest sam w trudniejszym niż uczony położeniu, że głód upomni się za chwilę o swoje prawa. Ale taka to już błogosławiona siła młodości i szlachetnego zapалу, odnosi ona tryumf nad najpierwszymi potrzebami życia.

Arciszewskiego wypędziła z rodzinnej Wielkopolski obawa kary za popełnione przez zemstę zabójstwo.

Zbieg Arciszewski walczył naprzód przy oblężeniu Roszelli 1628 roku, wkrótce jednak zmienił służbę francuską na holenderską i mianowany głównym dowódcą wojsk wysłanych do Ameryki, odebrał Hiszpanom Brazylię, odniósłszy sławne zwycięstwo pod Parahibą i Peryfuero 1634 r.

— Parahiba! — myślał Stefan — sternik wskazywał mi to miasto kiedy dopływałem do Brazylii, jakże mogłem o nim zapomnieć na chwilę!

Pani O'Clear czytała wracającemu do zdrowia ślusarczykowi dzieje Arciszewskiego, wiedział, że rycerz obdarzony najprzód zaszczytami przez rząd holenderski, został potem, gdy cudzoziemcowi pozazdrośczone sławy, naniebnie opuszczony od tych, na których wdzięczność wiekopomniemi dziełami zasłużył.

— Wrócił do kraju ale nie przyniósł swoim tyle pożytku ile dał go obcym. Antajos oderwał się od Gai, brakło mu tych sił, których tylko matka ziemia użycza synom, mówił Stefan, a mówił z coraz większym rozdrażnieniem.

— Może i tam w górze, nade mną trwa jeszcze bój? Odpędziliśmy Botokudów pierwszego maja, ale ileż dni upłynęło od tego czasu? Nie liczę godzin, gnijąc w jamie, nie wiem nic, nie pomogę już nikomu, zginę jak zginęli koloniści, jak zginął Chryzostom Dundera.

Głowa mu pałała, nie czuł teraz już nawet głodu, tylko jakieś dziwne łamanie w kościach i dreszcz. Biegał dookoła jamy, próżno Kadysia próbowała mu się przymilać, tupnął nogą zniecierpliwiony.

— Czego chcesz ode mnie? Ja nic już dla nikogo zrobić nie mogę, nie zdobędę nic, zmarnieję na obcej ziemi.

Spojrzał po swoim więzieniu, robiło się ono coraz więcej ponure, w miarę jak przygasał ogień.

— Gotowy grób — pomyślał i wstrząsnął nim tak silny dreszcz, że zachwiał się na nogach.

— Na to kochałem, na to opuściłem Jakóba, na to narażałem własne życie dla drugich, dla idyoty Nesabila, żeby ginąć głodową śmiercią, bo ja umrę, muszę umrzeć, nie dopiąwszy celu, a tyle ich pięknych, widniało przede mną!

Leżał, i choć w jamie było już prawie zupełnie ciemno, zasłonił twarz rękami. Potem zerwał się z ziemi, padł na kolana, błagał Boga o odwagę w obec głodowej

śmierci, o wyzwolenie od niej, jeśli taką była wola Najwyższego!

Myliły mu się słowa pacierza, ogarniała go gorączka, tracił świadomość swego położenia, głowa ciążyła i bolała nieznośnie.

— Co mnie jest? Dlaczego nie czuję głodu, tylko gorąco, kiedy przed chwilą było mi bardzo zimno?

Chciał wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, zerwał się jednak, odzyskał przytomność, próbował zdać sobie sprawę ze swego stanu. Zadrżał, bo w obezwładnionym przez głód mózgu zrodziło się straszne przypuszczenie.

— Żółta febra, ja mam paroksyzm żółtej febrы, trzeba się ratować! Był istotnie chory, trząsł nim dreszcz, męczyła gorączka, której nabawiła go wilgoć jamy.

Biedny Stefan! Choroba jest zawsze źle widzianym gościem, ale w warunkach, w jakich znajdował się nasz bohater groza jej przechodziła zwykłą miarę.

— Czemuż nie mam mojej apteczki — westchnął i nagle stanęły mu na myśli zioła Dundery. Widział między innymi takie, które odwrócić mogło febrę. Zwlókł się z ziemi, rozniecił ogień klepką i otworzył pudło uczonego. Starring poklasyfikowane rośliny opatrzone były w napisy objaśniające.

— *Salsaparyll*, dobre na spędzenie złośliwych humorów we krwi — czytał Stefan.

— *Absynth*, podobny do naszych goryczek, poleca się w bólach żołądka.

— *Kora drzewa*, skuteczna na trzęsionki i wszelakie febris złośliwe.

Tego właśnie szukał biedny chory. Chciał się ratować a wiedział, że trzyma w rękach korę drzewa chinowego znaną od paruset lat, chociaż chinę właściwą używać zaczęto dopiero w dziewiętnastym wieku. Trzęsły mu się ręce, serce biło przyspieszonym tętnem, — a on czuł, że tają w nim wszystkie złe uczucia, jakich doznawał przed chwilą.

Nie pytał już, czy warto narażać życie dla szlachetnej myśli, bo przekonał się, że nie ginie żaden okrucieństwo podniosły bez pożytku, jak nie ginie w naturze ani jeden atom stworzony.

Padł znów na kolana i dziękował Bogu za odzyskany spokój. Mógł już teraz umierać bez żalu.

— Kto wie, gdzie i na kim odbije się zrządzeniem Opatrzności fala dobrej woli? Mnie ratuje w chorobie praca Dundery? — myślał żując gorzką korę, do której czuł dziwny pociąg. Drżały mu ręce z gorączki, mąciła się chwilami pamięć, ale wracało zawsze toż samo uczucie pociechy do serca, że wedle sił służył dobrej sprawie, że nie przენiewierzył się ideałom, które szczepił w sercu znajdy dobry proboszcz.

Miał jeszcze trochę koniaku, wypił połowę zawartości flaszki, gdyż było mu chwilami bardzo zimno, doznał ulgi, ale popadł w stan gorączkowego odrętwienia:

— Jeżeli to jest żółta febra, nie obudzę się już — myślał zasypiając spokojnie, bo sumienie sieroty było czyste,

męczył go tylko wielki szum w głowie. Gorączka odjęła mu przytomność, leżał obojętny na pieszczoty małpki a przed oczami Znajdy majaczyły postacie osób znanych, niewidzianych dawno. Zapomniał wrażeń ostatnich dni, nie myślał już ani o napadzie Botokudów, ani o uczonym Dunderze, wracała mu natomiast pamięć przeszłości tak odległej, że istnieć ona mogła tylko w fantazyi dziecka. Przewidywał nadchodzącą godzinę śmierci i tęsknił do uścisku matki.

(c. d. n.)

## PROZA I POEZJA.

(Niezapadka).

O dziecię! gdy wyrośniesz, niech uplecie twa dusza cnót cichych wianek, niech władza twej miłości sprowadza serca bratnie w spłot harmonijny.

\* \* \*

Komu zagasną gwiazdy, ty tchnij własną nadzieję w noc jego życia; w twem łonie wiara czysta niech płonie jak kaganiec, i moc twą skrzepia.

\* \* \*

Niech cicha dłoń twoja, jak skrzydło anioła kwiat dokoła rozsiewa; świat boli wciąż i cierpi, ty chętnie skłoń ucho ku wszelkiej niedoli.

\* \* \*

Modlitwa, praca i pieśń niech drogi twej ślad znaczą; przy nich ubogi zakres życia ozłaca serca.

\* \* \*

A gdy Bóg zaśle ci z swej łaski natchnienia, niech odbłaski jej promienne ocienia pokora.

\* \* \*

Mąż bierze działem rozgłos, niech mu dni płyną w chwale; nam iść doliną zieloną w miłości i wierze.

\* \* \*

Niech nas w pomroczy wiedzy żywa nie powinności; zdrój toczy czyste wody, póki przepływa w cieniu.

(Ułożyć z tej prozy poezję; trzy pierwsze zwrotki powinny mieć po sześć wierszy, nierównozgłoskowych, cztery następne po cztery wiersze o jednakowej liczbie zgłosek).

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 34-go.

Szarady: Przy — wią — za — nie.

### Kryptografy literackiego:

Potop, Ofiara, Jedynaczka, Eli-Makower, Dzieci w dawnych czasach, Niedźwiedź, Anielka, Na oceanie Spokojnym, Iskierki, Pojednani.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Ś. p. Henryk Siemiradzki (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa (z ryc.) — Listy z wycieczek wakacyjnych, Heleny. — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Łamigłówna i rozwiązania. — Dodatek: O Bubulisi i jej braciszku Bubu (ryc.) — Wiązanie wnuczek, obrazek dramatyczny. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówna i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

## O Bubulisi i jej braciszku Bubu.

### II.



Na łące, koło sadzawki, bardzo jest ładnie. Olszy-  
na nad wodą rośnie i rzu-  
ca taki cień, że w upał  
tam chłodniej i przyje-  
mniejsze niż w ogrodzie.  
Dzieci lubią tam chodzić,  
i teraz bawią się w cieniu,  
a nianusia siedzi i ceruje

ich pończoszki. Trawa na łące wysoka, pełno kwiatków;  
niedługo będą ją kosić. Dzieci zaczynają zbierać kwiat-  
ki dla mamusi, bo mamusia lubi mieć zawsze bukiet na  
stole do obiadu. A wtem, w wysokiej trawie coś zasze-  
leściało...

— Nianiusiu! Co to jest? — zapytuje Bubulisia, po-  
kazując na ziemię. — Co to idzie?



Niania dźwignęła się z ziemi, spojrzała i... jak krzy-  
knie:

— Uciekajcie! Żmija!

Porwała wielki, biały parasol, bez którego nigdy  
nie wychodzi, i zaczęła bić nim zajadłe w to miejsce,  
gdzie sunął pomiędzy trawą niewielki wężyk szarawy,  
w brunatne desenie.

Ubiła mężna nianusia gada i zabrała z tryumfem do  
domu.

— A coby dzieci zrobili, gdyby nie było niani — za-  
pytała mama.

Jak myślicie — coby zrobili?

B. B.

## WIĄZANIE WNUCZEK.

OBRAZEK DRAMATYCZNY.

(Dokończenie).

### SCENA II.

*Jadwisia (sama, całuje lalkę).*

Lalko! bardzom cię kochała  
Lecz cię oddam, moja mała.

(zasłona spada).

### ODSŁONA II.

(Pokój ten sam, co w pierwszym akcie, na środku stół, na któ-  
rym leżą różne ubranka dziecięce jako to: koszulki, sukienki,  
zabawki i t. p. Z boku leży lalka, obok niej powinszowanie).

### SCENA I.

*Zosia (samą układa na stole).*

Nadchodzi wreszcie to rano,  
Od tak dawna upragnione,  
Zobaczym babcię kochaną!

(przynosi lalkę).

Przenoszę cię na tę stronę.

(po chwili).

Mozolna to była praca,  
Szyć koszulki i sukienki,  
Lecz zajęcie tak czas skraca,  
I tak miło własnej ręki,  
Własnych starań ujrzeć dzieło.  
Dobrze, że się wczas zaczęło,  
Ach! babunia się ucieszy,  
Do swych biednych wnet pośpieszy,  
Aby ulżyć ich niedoli.  
Babunię tak serce boli,  
Gdy widzi czyje cierpienie,  
Czyją troskę, lub zmartwienie.

### SCENA II.

*Zosia, Jadwisia.*

*Jadwisia (wnosi dwa bukiety)*

Zosiu, postaw je na stole.

(przypatruje się i mówi wesoło).

Babcia powie: o, to wolę,  
Niż najwspanialsze podarki;  
Ta sukienka dla kucharki  
Walentowej dziecka będzie,  
Radość zapanuje wszędzie,

Dziękuję wam, drogie dziatki,  
Rośnijcie mi, wdzięczne kwiatki.

*(zwracając się do Zosi).*

Ach! Zosieczko, jak mi miło,  
Jak mi błogo i radośnie.

**Zosia.**

Jak to ślicznie się zrobiło,  
Serce mi z radości rośnie.

*(po chwili).*

Wszystko jest, jak się należy,  
*(spoglądając na zegar).*

O! dziesiąta wnet uderzy.

*(zwracając się do Jadwisi).*

A teraz powinszowanie,  
Niech Jadwisia mi powtórzy,  
Aby, gdy przed babcią stanie,  
Nie namyślała się dłużej,  
Jak przy lekcy nieraz bywa.

**Jadwisia.**

O! niedobra! niepoczciwa!  
Za coś mi tak dokuczyła?  
Jam na to nie zasłużyła. *(placze).*

**Zosia** *(przybiegając do niej).*

Co mówisz, Jadwisiu droga,  
Czyż ja jestem taka sroga,  
Czyż me słowa takie ostre?  
Wszak masz we mnie starszą siostrę,  
Wierz mi, kocham cię serdecznie.

*(chce ją uściskać).*

**Jadwisia** *(odwraca się, przez chwilę siedzą obiedwie zachmurzone, wtem nagle Jadwisia zrywa się i rzuci na szyję Zosi, wołając:)*

To było bardzo niegrzecznie,  
Żem ja cię tak obraziła,  
Sama teraz błąd mój czuję. .  
*(ściskając się).*

Teraz słuchaj, recytuję.

*(Bierze ze stołu zwinięty i niebieską wstążeczką związany arkusz papieru, a stanąwszy przed Zosią, mówi z powagą).*

Dziś dzień Twojego imienia,  
Babciu, droga, ukochana!  
Śpieszę od samego rana,  
Złożyć ci moje życzenia.

\* \* \*

Bądź zawsze czerstwa i zdrowa,  
I spokojna i szczęśliwa!  
Niech ci życie mile spływa!  
Niech od trosk Bóg cię zachowa!  
Za twe rady i nauczki,  
Za twą miłość i staranie,  
Takie dla ciebie wiązanie.

*(pokazuje na stół).*

Obmyśliły twoje wnuczki.

**Zosia.**

Doskonale, doskonale!  
Nie omyliłaś się wcale.  
A teraz ja powiem swoje,  
Słuchaj proszę: ot już stoję. *(dekluuje).*  
Jaki rozkoszny! jaki uroczy!  
Ach! jaki dzisiaj wesoły dzień!

Tak drżą nam serca, tak błyszczą oczy,  
Duszy nie mroczy najłżejszy cień.

Każda z nas dzisiaj taka szczęśliwa,  
I tak nam mile upływa czas,  
Dzisiaj babunia do nas przybywa,  
By dzień imienin przepędzić wraz.

Witaj, babuniu! Witaj nam droga!  
Niech się i tobie uśmiechnie świat.  
O szczęście twoje błagamy Boga,  
Najdroższa babciu, żyj nam sto lat.

Za twe szlachetne serce i cnoty,  
Niech Bóg ci Swoich nie szczędzi łask!  
Wolna od troski, bólu, tęsknoty,  
Niech opromienia radości blask!

Tyś dla nas wzorem, tyś nam przykładem,  
Tyś jest obrazem domowych cnót,  
Wnuczki twe pragną twoim iść śladem,  
By starań twoich nagrodzić trud.

*(Słychać głos za sceną).*

A gdzież dziatwa się podziała?

**Zosia, Jadwisia** *(razem wybiegając).*

Ach! babunia przyjechała.

*(Zastłona spada).*

## Co znalazłem w błotach i kałużach?

Odwiedziny u dziadka i historya Oczlika.

**N**

iedziela. Upragniony dzień! Zaraz po obiedzie idę w odwiedziny do dziadka.

Ale dziś ani ojciec ani mama pójść ze mną nie mogli, tylko służąca, Anusia. Wiedziałem już teraz, jak trafić do łóżka dziadka.

Chory wydał mi się dziś zdrowszym i weselszym. Wypytywałem, co porabiam.

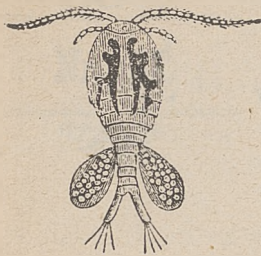
Zacząłem więc ze wszystkimi szczegółami opowiadać o nowych moich odkryciach.

— Wiecie dziadku, że lupa, to jest to szkło powiększające, to doskonała rzecz, powiadam wam, że tak wyraźnie można dojrzeć małe stworzenia, aż miło.

Ot na przykład wczoraj patrzę, coś pływa po wodzie, wielkości ziarnka maku, ale co to jest mianowicie — trudno rozpoznać. Biorę lupę, to oczlik, zaraz go poznałem, bom widział na obrazku w zoologii. Czasem nazywają go Cyklopem, a wiecie dla czego? Bo ma jedno oko. W bardzo dawnych czasach Grecy wierzyli, że są na świecie olbrzymy, które posiadają jedno oko na czole, ale wszak to bajki! Otóż owego raczka przyrównali do tych olbrzymów i dali mu ich nazwę. Z wyglądu oczlik jest tak dziwny, że nie umiałbym go opisać.

Ciało z prążków złożone, długi ogon, na przodzie przy głowie nóżki. Nie widziałem go nigdy skaczącego, a podobno skacze jak pchła. Powiadam wam, że godzinami siedziałem przy nim z lupą.

Zapomniałem wam powiedzieć, że oczlik był w moim słoju, który mam w mieszkaniu. Widocznie jest ich



dużo w stawach i kałużach, gdyż ile razy zanurzyłem słój zawsze kilkanaście cyklopów wpadało razem z wodą.

A wiecie, co one jedzą? Szczątki martwych zwierząt wodnych i zgniłe wodorosty; prawda, że nie wybredne moje raczki!

Podobno ryby i kijanki głównie się niemi żywią.

— To ciekawe stworzenie — mówi dziadek — szkoda, że widzieć go nie mogę.

— Zobaczysz jeszcze, dziadku, gdy wyzdrowiejesz i wyjdiesz ze szpitala. Przyjdiesz wtedy do nas i przez lupę doskonale wszystko zobaczymy.

— Oj, nie wiem, czy się podniosę z mojej choroby, tchu mi brak coraz bardziej — powiedział dziadek i ciężko westchnął.

Po chwili zbliżyła się do mnie szarytka.

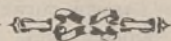
— Widzę, że kawaler więcej sam opowiada, to do brze, bo choremu rozmawiać dużo nie wolno, zaraz by się zakaszał, ale godzina przyjęcia już skończona, musisz moje dziecko pożegnać chorego.

— W takim razie do widzenia, kochany dziadku, do czwartku, do tego czasu znowu co nowego odnajdę, to wam opowiem.

— Dziękuję ci, dziękuję — mówił słabym głosem staruszek.

Przed odejściem przeczytałem łaciński napis na tabliczce dziadka. Pneumonia.

Ciekawym, czy to jest choroba niebezpieczna.



*Julia Piasecka.*

## Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg).



leż dla czego?

— Ha, ha, ha, pyta się dla czego? Dla tego, że w za-jeżdżie nie mam już ani jednego łokcia kwadratowego, gdziebym mógł nowych gości pomieścić, a przed chwilą przybyło dwóch panów i powiedzieli, że za jakąbądź cenę, muszę im dać numer. Zapłacą mi dziesięć razy więcej jak ty, więc rzecz prosta, że ich wolę, niż ciebie! Zbieraj manatki, zapłać należność i rób z sobą co chcesz. Za kwadrans najwyżej numer muszę oddać przyjezdnym.

— Za kwadrans — powtórzyła, gorączkowo zbierając rzeczy — czemu za kwadrans?

— A to niemądra dziewczyna z temi pytaniami — zaśmiał się gospodarz, zupełnie już uspokojony, widząc, że nie ma zamiaru stawiać przeszkód. — Za kwadrans tu przyjdą przebrać się, teraz pobiegli na policję. Zdaje się, że ścigają jakiegoś złodzieja.

— Ach, na policję pobiegli, dobrze, dobrze, zacny gospodarzu, usuniemy się natychmiast.

Wystąpiły jej na twarz ciemne rumieńce. Ubrała

dzieci, zarzuciła na głowę kaptur, na ramiona płaszcz i chwyciwszy papier i zawinięcie, wybiegła na ulicę.

Niepokój tryskał jej z oczu.

— Na dworzec kolejowy — rzuciła woźnicy, wsiadając do dorożki, — tylko prędko!

Konie pomknęły po gładkim bruku ulicy, Mira tuliła dzieci do siebie.

Wtem... cóż to? Czy ją wzrok myli? Chodnikiem, wśród różnorodnych przechodniów biegnie Kulim. Przeczucie ją nie myliło, tak, to on, poznaje go doskonale. Macha rękami, jakby mu wisały na nitkach; przytem gdy biegnie, głowę naprzód wysuwa. Nie myli się, takich dwóch jak Kulim niema na świecie.

Gdy dorożka zatrzymała się przed dworcem kolejowym, Mira ze zdwojoną energią, którą podniosła obawa, załatwiała ostatnie sprawy. Kupiła bułek, bilety i prze-mocą prawie wepchnęła dzieci do wagonu, a one były tem wszystkiem tak zdumione, że nie śmiały nawet odezwać się do niej!

Usadowiła je w kącie wagonu i poleciła pilnie strzedz zawinięcia.

— Proszę o bilety.

Trzymała je jeszcze w ręku, więc podała konduktorowi.

— Jakto, dwa tylko, a trzy osoby, pani i dwoje dzieci?

— Ja nie jadę.

— A więc proszę wysiadać.

Wcisnęła jeszcze kartkę w rękę Wojtaszka, pocałowała dziewczynkę i tłumiąc gwałtowne łkanie, wybiegła z wagonu.

W tej chwili pociąg ruszył zrazu wolno, a później całą siłą pary.

## VIII.

Dzieci rozstały się z Mirą, wyrwała je z rąk kome-dyantów, były wolne! Siedziały cicho, przytulone jedno do drugiego, onieśmielone, niepewne. Mira tak doryw-czo, prędko powiedziała, co mają robić, gdy dojadą do Wiednia, że Wojtaszek niezupełnie jeszcze biegły w ję-zyku niemieckim, nie zrozumiał jej. Wiedział, że mieli dojechać do Wiednia, ale on przecie nie wie, która to stacya będzie Wiedeń. Onieśmialo ich także towarzy-stwo siedzące w tym samym przedziale. Jacyś panowie rozmawiali po niemiecku, jacyś państwo innym znów ję-zykiem, spoglądali na dzieci i uśmiechali się.

Wojtaszek przytulił dziewczynkę i szepnął jej do ucha:

— Gdy będziesz głodna, to powiedz, mam bułki w kieszeni.

— Dobrze — odszepnęła — ale dla czego niema z nami Miry?

— Mira powróciła do namiotów Czardaja.

Na wspomnienie tego, dziewczynka chwyciła Woj-taszka za rękę.

— Ale my tam nie wrócimy, oni nas nie schwycą?

— Nie, dziecko, bądź spokojną, a choćby chciał, to ja cię potrafię obronić.

— Nie dasz, prawda? Ty jesteś dobry, ja cię lubię tak jak Mirę, odprowadzisz do taty i mamy, ale czy oni mnie poznają?

— O napewno!

— Kiedy ich zobaczę?

— Nie wiem jeszcze!

Oboje się zamyśliłi. Mała Nelli o tym domu, którego wcale nie pamiętała, o rodzicach, a Wojtaszek co zrobi, gdy pociąg stanie i każą mu wysiadać? Zdrzemnęli się oboje! Wagon tak równiutko sunął po szynach, a w główkach dziecięcych takie cudowne stawały obrazy.

Współtowarzysze podróży zainteresowali się dziećmi. Patrząc na śpiącą parę, siedzący naprzeciwko pan zwrócił się do żony:

— Patrz, Adelciu, jaki śliczny obraz tworzą te śpiące dzieci. Szkoda, że nie mam mego aparatu fotograficznego, zrobiłbym zdjęcie! Ale, co tobie — dodał, widząc, że pani długo mrugała powiekami, a później szybko jedna za drugą, spadały jej łzy na twarz, — ty płaczesz, co ci się stało?

— Myślę o zmarłej mojej Helence. Ta mała śpiąca, tak mi ją żywo przypomina. Miała takie same jasno-złote włoski, takie różowe usteczka. Ach! czemu mi ją nieubłagana śmierć zabrała. Dziś nie mam już kogo kochać, a gdy patrzę, na czyje dzieci, nie mogę oprzeć się smutkowi!

— Trudno, moja droga, Bóg tak chciał i tak być musi — odrzekł mąż, a chcąc żonę odwrócić od tych smutnych wspomnień, zagadnął:

— Jak myślisz, czy to rodzeństwo?

— Właśnie zastanawiam się nad tem, i sędzę, że chyba nie. Dziewczynka ma cerę bieluchną, delikatne, drobne rysy, śliczne rączki i małe nóżki, a chłopiec popolicie wygląda, jest opalony, przytem spojrzysz na jego ręce, duże, czerwone, spracowane.

(d. c. n.)

## HOMONIM.

Jako statek po wodzie płynę,  
Jako miasto w swoim kraju słyne.

## ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA

ul. Turkaweczka.

a a a a a a b c c d e e

g h m m r o t t t z.

Z powyższych liter ułożyć dawne przysłowie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 34-go

Szurady: Sza — ra — da.

Arytmogryfu: K  
O n a  
S a n  
s k w a  
O r o t  
a t e n y  
d z w o n  
t o g a  
w a s y  
n i l  
o k o  
p o  
d o  
l



## Skrzynka do listów.

Słusznie czynisz **Bohunie**, pragnąc usilnie wyuczyć się rodzinnego języka, stanowi on najsilniejszy węzeł łączący ludzi jednej narodowości, szanujących drogą spuściznę po przodkach. To też choć nauka trudną ci się z początku wydać może, nie zrażaj się temi trudnościami, które przy dobrej woli i wytrwałości wprędce przezwyciężysz. Z pierwszymi próbami śmiało zwracaj się do nas, jako życzliwi przyjaciele list od ciebie choć niepoprawnie jeszcze napisany, powitamy z przyjemnością, a gdy zażadasz, nie poskąpimy rad i wskazówek.

Obrałaś sposób właściwy **Helusiu G.** cierpliwością i wyrozumiałością rozbrajając zbyt swawolnych braciszków i nadto figlarne siostrzyczki. Dobry przykład starszej siostry skuteczniejszym bywa od surowych napomnień, a ty ucząc się za młodu czynić chętne dla innych ustępstwa, wyrobisz w sobie tak pożądane dla kobiety zalety dobroci i łagodności. Gdy wytrwasz na raz obranej drodze, inna jeszcze za postępowanie takie czeka cię nagroda: rodzeństwo twoje sercem coraz silniej lgnąć będzie do cierpliwej, wyrozumiałej siostrzyczki, którą z każdym rokiem więcej ceniąc, otoczą potem dowodami trwałego, serdecznego przywiązania.

List twój z dnia 11 t. m. świadczy nam **K. B.** o szczerych chęciach twoich należenia do konkursu robót. Spieszymy też z przesłaniem ci żądanych numerów abyś, poznajomiwszy się z warunkami owego konkursu, coprędzej zabrać się mogła do pracy i nadesłała na czas robotę własnoręczną, poznaczoną następnie dla ubogich dzieci.

Za kartkę **Czesławowi i Wandzie S.** w imieniu naszej redaktorki zasyłamy podziękowanie.

**Przepióreczka** prosi o pozwolenie wymiany kart pocztowych z Niezabudką z nad Bugu, Łochozwianką, lub Żuczkiem ze Lwowa, co stosownie do warunku przez nas zawsze stawianego, zależy od pozwolenia rodziców lub opiekunów wymienionych korespondentów.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: **Stefcia** i **Alisia Medveczky**, **Elutka**, **B...** n, **Niezabudka** i **Latawiec**.

## NAJPRAKTYCZNIEJSZE

palta, sukienki, kapelusze, sukienki do chrztu,  
bielizna dziecienna

W MAGAZYNIE

JANINY

w Warszawie, Marszałkowska Nr. 151.

10—3